

„MALOWANIE TO PRZYGODA”

(„Tydzien Kulturalny” – styczeń 1996r.)

Ze Zdzisławem Beksińskim rozmawia Kajus Augustyniak

**Pańską popularność wielokrotnie porównywano do muzyków rockowych, aktorów.
Jak czuje się pan w roli idola?**

Myślę, że okres tak szerokiej popularności mam już za sobą. W latach siedemdziesiątych urządziłem w Polsce więcej wystaw i byłem lepiej znany. Wystawa, która teraz krąży po

kraju, jest właściwie pierwsza od jedenastu lat i nie jest robiona przeze mnie, a przez mojego byłem wspólnika z Francji, Piotra Dmochowskiego.

Byłego?

Zerwałem ten układ w listopadzie 1994 roku. Nie mogłem się już w tym odnaleźć. Kosztowało mnie to sporo, bo zrywając umowę jednostronnie musiałem dać szalenie wysokie odszkodowanie czyli pięćdziesiąt obrazów – dwa lata pracy – ale ja się w cuglach źle czuję. Postanowiłem więc pogorszyć mój standard finansowy, a poprawić psychiczny.

Jest pan więc teraz sam swoim marszandem?

Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem...

Jak udaje się panu ta rola?

Na razie się nie udaje, bo utrzymuję się z oszczędności. Malując dla siebie mając nareszcie tę przyjemną świadomość, że nikt mi tego nie będzie zabierał.

Czy może sam sprzedawać obrazy artysta, któremu zdarza się odmawiać sprzedaży obrazów?

Odmawiam sprzedaży często. Każdy malarz chciałby chyba malować przede wszystkim dla siebie, z tym że warunki życiowe zmuszają jednak do sprzedawania. Teraz mam pewne zaplecze finansowe – z „potężnej” emerytury, którą dostaję, chyba bym nie wyżył – i myślę, że przez pewien czas uda mi się zachować luksus malowania wyłącznie dla siebie.

Zaczynał pan od fotografii, później były reliefy, grafiki, wreszcie malarstwo. Skąd tak skomplikowana droga?

Chętnie zainteresowałbym się dziesięcioma tysiącami innych rzeczy, tylko że już nie ma na to czasu. Zaczynałem od fotografii, dlatego że chciałem być filmowcem. Z wielu przyczyn to się nie udało i fotografia była dla mnie substytutem pracy operatora i reżysera. Właściwie ja nie byłem reporterem. Reżyserowałem fotografie, godzinami ustawiałem względem siebie człowieka, akt, architekturę, przyciemniałem, rozjaśniałem, bawiłem się. Później zdecydowałem, że dużo łatwiej jest to robić za pomocą pędzla i ołówka. Dziś już w ogóle zdjęć nie robię – scenki rodzinne rejestruję kamerą wideo.

Czy będzie więc coś jeszcze po malarstwie?

Mimo, że najbardziej ze wszystkich sztuk, lubię muzykę, jednak nie będę jej robić, bo nie mam przygotowania teoretycznego. Muzyka jednak tego wymaga. Być może mógłbym z

nią coś robić na komputerze, ale w ogóle nie jestem zorientowany w zakresie możliwości programowych. Z pism komputerowych tego dowiedzieć się nie można, a nikogo, kto by się tym zajmował, w życiu nie spotkałem. Komputer interesował mnie zresztą jako narzędzie pracy grafika lub narzędzie ułatwiające robienie fotomontażu – bez ciemni, paprania się w płynach, całkowicie czysto. Niestety, poszczególne ogniwa tego łańcucha, który pozwoliłyby na uzyskanie właściwego efektu końcowego, przekraczają moje możliwości finansowe. Cena potrzebnego mi skanera do slajdów lub drukarki przekracza sto tysięcy dolarów. To nieprawdopodobne koszty. Wydawanie tych pieniędzy, nawet gdyby się je miało, byłoby lekkomyślnością w wieku sześćdziesięciu sześciu lat.

Dlaczego?

Bo muszę mieć przecież jakieś pieniądze na wypadek, gdybym tak oślepl, albo by mnie sparaliżowało, lub coś innego by się stało. Człowiek zaczyna się obawiać o siebie, o żonę,

o funkcjonowanie tego wszystkiego, nie może być lekkomyślny, wysypywać, nagle posiadanych zasobów na kupno komputera.

Słyszając jednak, z jakim zapałem pan mówi, w ogóle nie zauważa się wieku. Porównywano pana wielokrotnie z Dalim, Blake'em, Brueglem, umieszczano wśród surrealistów lub ekspresjonistów. Pan odcina się od takich porównań. Dlaczego?

Nie odcinam się od wpływów, ale nie zawsze to są te, które wszyscy widzą. Odczuwałem rozmaite wpływy, ale niejednokrotnie chodziło o jakiś zachwyt jedną pracą któregoś malarza. Dali, Bruegel są ode mnie dość daleko. Dużo bliżej znajdują się np. Henry Moore czy taki drzeworyt Kulisiewicza przedstawiający starą kobietę z dzieckiem i stojącą dziewczynkę albo obraz Tunera ze statkiem wchodzącym do portu – obejrzałem i dostałem jakby obuchem w łeb. Ja obcuję ze sztuką na zasadzie zwykłego luzu, niczego nie robię systematycznie, sądzę, że wielu malarzy, którymi mógłbym się zachwycić, w ogóle nie widziałem. Z wystaw oglądam wyłącznie wystawy sklepowe.

Nie odwiedza pan wystaw malarskich?

Nawet na swoje własne nie lubię chodzić, to działa przygnębiająco na człowieka. Wszystko wisi na haku jak mięso w sklepie.

Wiele artystów traktuje jednak wystawy jako składnik życia towarzyskiego – jest wernisaż, lampka wina, możliwość zamienienia paru słów o sztuce. To już jest forma życia społecznego.

Być może, jednak ja nie wyćwiczyłem się w tym wystarczająco i źle się w tym czuję. Będąc na otwarciu własnej wystawy, co zdarzyło mi się dwa razy, miałem wrażenie, że jestem pod stałą obserwacją. Bardzo dobrze potrafię funkcjonować towarzysko, gdy liczba osób nie przekracza pięciu. Im jest ich więcej, tym bardziej mili ludzie wokół mnie zaczynają się zmieniać we wrogi tłum, którego się boję.

Czy więc samotność jest potrzebna twórcy?

Chyba nie. Jeden lubi to, inny woli tamto.

A czy to nie tęsknota za „środowiskiem” sprowadziła pana z Sanoka do Warszawy?

Nie, bezpośrednia przyczyna była inna. Wyburzono dom, w którym mieszkałem. Ponieważ żyłem w oparciu o Warszawę, bo sprzedawałem obrazy w galeriach, więc uznałem, że skoro mam mieszkać w bloku, to niech to będzie blok w Warszawie.

Mówi się o panu jako o „litewskim niedźwiedziu”, człowieku żyjącym całkowicie na uboczu.

Nie po to przenosiłem się do stolicy, by znaleźć się bliżej tak zwanego środowiska. To jest jakaś grupa facetów, która czasami przysyła różne zaproszenia na zebrania. Ja też je dostawałem, ale na szczęście udało mi się dożyć sześćdziesiątego szóstego roku nie wiedząc, co to jest komisja skrutacyjna i mam nadzieję, że nadal nie będę wiedział. Po prostu zasypiam na takich imprezach. Oczywiście wolałbym żyć w centrum świata niż Polski, ale wolę Warszawę od Sanoka.

Przyzwyczał pan odbiorców do wizyjnego, nieomal gotyckiego malarstwa. Od pewnego czasu maluje pan „kamienne” głowy. Skąd ta zmiana?

Nie wiem , po prostu człowiek nudzi się sam sobą. Nie całkiem oczywiście, niedawno namalowałem dla przyjemności jeden z moich „kościółów”, ale rzeczywiście od dłuższego czasu maluję postaci zdeformowane. Pomiąłem perspektywę, długie tło, po prostu bardziej mnie to bawi. To też jest jakby nawrót do siebie z lat pięćdziesiątych, początku lat sześćdziesiątych, mojego ówczesnego rysunku.

Odcina się pan od „znaczenia” obrazów, ich „literackości”. Mimo to w pańskiej twórczości pojawia się wiele symboli, dla widza niejednokrotnie zupełnie jednoznacznych, jak choćby „In hoc signo vinces”.

Mój Boże. Ten tekst jest powszechnie znany. Na tej samej zasadzie można by zapytać, dlaczego tak często na rozmaitych obrazach wpisuję liczbę „2” lub „28”. To nie ma chyba żadnego większego znaczenia. Z natury rzeczy jestem malarzem abstrakcyjnym, mimo że maluję niejednokrotnie pejzaże z przestrzenią i obłokami. Mnie interesuje obraz. Coś przecież muszę namalować. Cokolwiek jednak by to było, to przecież dziś każdy już czytał jakiś podręcznik o symbolach, choćby Eliadego, i właściwie we wszystkim, do licha, można doszukać się symbolicznego znaczenia. Mam swoje tematy żelazne, które robią na mnie duże wrażenie. Kiedyś było to morze, teraz bardzo często maluję krzyż albo ukrzyżowanie, ale z Kościołem właściwie mam bardzo niewiele wspólnego. Jedni tymczasem widzą w tym przejaw mojej religijności, inni uważają, że powinienem

wycofać niektóre obrazy, by nie urazić uczuć chrześcijan. Naprawdę nie wiem już co mam zrobić. Zrezygnować z wizji, którą mam, tylko dlatego, że będę w jakiś sposób zaszufładowany? Kiedy ostatnio w jednym z wywiadów powiedziałem, że Chrystusa w tych ukrzyżowaniach nie ma, to napisała do mnie jakaś pani, że gdyby Chrystus nie wybrał mnie na swój megafon, to zostałbym przez całe życie architektem. Z kolei jakiś ksiądz powiedział, że szatan występuje w moich obrazach. Na Boga, jak mam bronić się przeciwko klasyfikacjom? Obraz to coś do oglądania. W sensie ściśle materialnym to jest kawałek płyty pilśniowej pokrytej pigmentami a zarazem świadectwo wyobraźni faceta, który go namalował.

Wspomniał pan o płycie pilśniowej. Maluje pan tylko na niej?

Wyłącznie.

Czy to wygoda – płyta jest twarda i łatwiej na niej namalować niż na płótnie – czy coś innego?

To po prostu następstwo banalnego braku pieniędzy na płótno. Później doszło do tego przyzwyczajenie oraz wygoda przycięcia i magazynowania. Poza tym przez cały okres realnego socjalizmu dostanie krosien lub blejtramu z prawdziwego zdarzenia było niemożliwe – to było drewno nie wysezonowane, które po trzech latach potrafiło się przedziwnie poskręcać niszcząc zupełnie obraz. Po prostu przywykłem, a teraz już za późno, żeby cokolwiek zmieniać.

Lubi pan oglądać własne obrazy?

Niektóre z nich mam w domu i stale na nie patrzę. Czasem, gdy obraz długo u mnie wisiał, stale mam go przed oczami. Bywa, że potem ktoś go przynosi do poprawienia, bo się zadrapał w czasie przeprowadzki i...

Często to się zdarza?

Tak.

I poprawia pan?

A co mam robić? Robię to ze względu na siebie. Po łódzkiej wystawie Dmochowski doniósł mi, że dwa obrazy są uszkodzone, będę więc musiał je poprawić. Organizatorzy wystaw należą do ludzi mających po dwie lewe ręce i dziki talent do uszkodzania wszystkiego.

Czy zdarzyło się panu malować na zamówienie?

Nie. I nigdy tego nie zrobię. Nie wyjdzie mi to po prostu. Miałem niedawno propozycję – nawet nie zamówienie, chodziło o inspirację – namalowanie obrazu, do którego ktoś napisałby muzykę, miał też powstać i wiersz. Ja jednak po prostu nie wiem, co wyjdzie mi na obrazie. Malowanie to przygoda. Zaczynam od pewnego założenia. Czasem rzeczywiście do końca ono się utrzymuje, czasami jednak już na drugi dzień wszystko zaczyna się zmieniać i wychodzi coś całkiem innego.

Czym więc dla pana jest malarstwo: powołaniem, zawodem, zabawą, żartem z innych ludzi?

Nie zastanawiałem się nad tym, ale na pewno jest w tym coś z powołania, aczkolwiek myślę, że mógłbym uprawiać jakąś inną sztukę. Chodzi mi o twórczość raczej niż ściśle o malarstwo. Bez tego byłoby nudno. Przez pewien czas pracowałem jak normalny człowiek, podpisywałem listę, itd. Był to dla mnie straszliwy kierat.

Przed laty wspominał pan w jednym z wywiadów, że malując słucha pan muzyki, wówczas ciężkiego rocka. Teraz podobno jest to muzyka poważna?

Jedno drugiemu nie przeszkadza. Chociaż mam jeszcze stare nagrania, to w nowościach z muzyki pop przestałem się zbyt dobrze orientować. Mój syn się tym interesuje i ja w zasadzie akceptuję to, co on przyniesie mi do przesłuchania. Muzyki klasycznej natomiast słuchałem bardzo dawno i słucham jej nadal.

I co to jest?

Z muzyki klasycznej od dwóch, trzech lat moim *number one* jest Alfred Schnittke. Z muzyki pop trudno byłoby znaleźć jedną grupę, słucham dość dużo. Nie przepadam jednak za muzyką lekką, łatwą i przyjemną, raczej słucham muzyki nowofalowej, bardziej skomplikowanego rocka.

Skoro jesteśmy przy muzyce... książki, kino?

Ze wstydem przyznaję, że książki w ogóle przestałem czytać. Poprzestaję na kilku gazetach. Może dlatego, że mogę czytać dopiero wieczorem, a szalenie męczy mnie czytanie przy świetle elektrycznym. Wolę więc oglądać filmy wideo. Najbardziej przy tym preferuję dwa bardzo odległe od siebie gatunki: skrajną awangardę, zupełnie odjazdowe filmy, czasem dotrze do nas jakiś Greenway lub coś podobnego – oraz zupełny chłam, gdzie eksplodują samochody i znarkotyzowani Murzyni strzelają z takich grubych luśni. Całego środka wręcz nie znoszę, a przede wszystkim seriali telewizyjnych.

Uzyskał pan to, co inni zabiegają bezskutecznie nieraz przez całe życie: sukces, sławę. Czy ma pan uczucie spełnienia?

Nie zastanawiam się nad takimi rzeczami. Co należy rozumieć przez uczucie spełnienia? Miałbym je, gdyby człowiek nie musiał umierać. A życie trwa tak krótko, zawsze coś się

robi i nagle się okazuje, że to są wszystko śmieci, które kiedyś szlag trafi. Tym bardziej, że co jakiś czas ktoś przynosi mi obraz sprzed dwudziestu lat z pytaniem czy to mój i z prośbą o podpisanie go. A on wygląda tak, jakby używano go jako szufli do odgarniania śniegu. Kiedy to widzę, jakie mam mieć uczucie spełnienia?

Filmował pan kolejne fazy powstawania obrazów, nagrywa pan również tę rozmowę. Dlaczego?

Lubię robić dokumentację wszystkiego, nagrywam rozmowy, kiedyś wiele filmowałem kamerą wideo, mam dziesiątki kilometrów taśm, których nawet nie sposób przejrzeć. Teraz odkryłem możliwość notowania wszystkiego na komputerze. Siedzę i piszę co się zdarzyło: przyszedł ten a ten, gadaliśmy o tym i o tym. Doprawdy, nie wiem po jaką cholere mi jest to potrzebne.

Rozmawiał Kajus Augustyniak